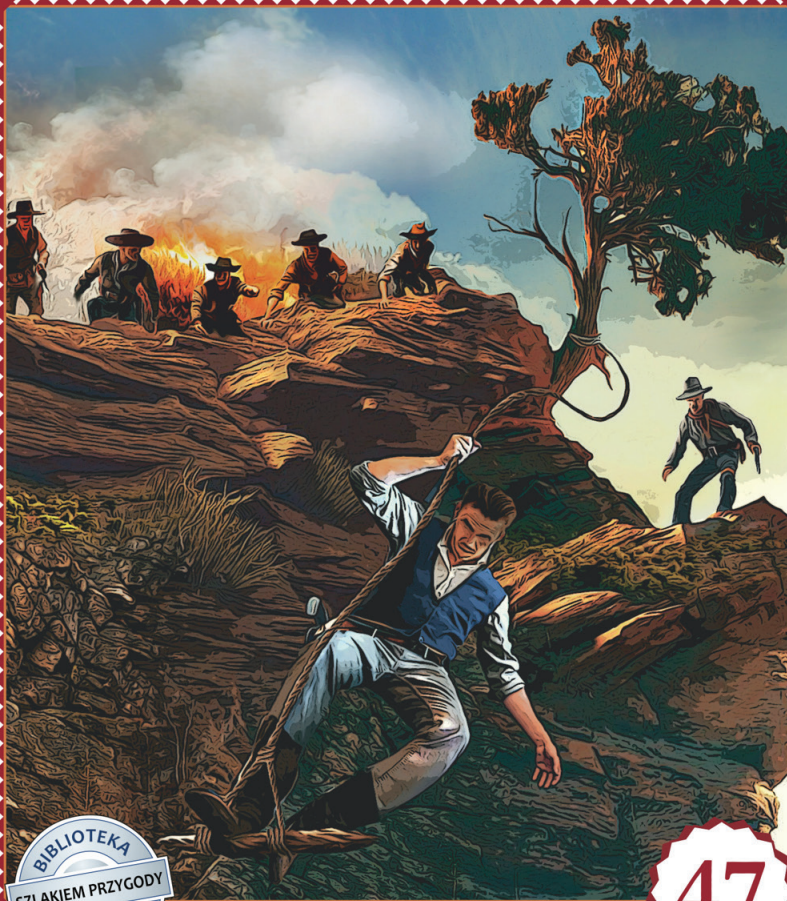




Max Brand

ZŁOTO REWOLWEROWCA



47

ISBN 978-83-67876-04-9

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA
SZLAKIEM PRZYGODY**

Max Brand

ZŁOTO REWOLWEROWCA



[Kup książkę](#)

Max Brand, a właściwie Frederick Schiller Faust urodził się 29 maja 1892 roku w Seattle w stanie Waszyngton i zmarł 12 maja 1944 roku w Santa Maria Infante we Włoszech. Osierocony w wieku 13 lat musiał walczyć o przetrwanie. W młodości pracował jako parobek na ranchach w kalifornijskiej dolinie San Joaquin. Podczas drugiej wojny światowej był korespondentem wojennym we Włoszech, gdzie zginął trafiony odłamkiem pocisku w trakcie raportowania ofensywy wojsk amerykańskich.

Studiował na Uniwersytecie Kalifornijskim. Wyróżniał się zamiłowaniem do nauki i do czytania książek, a także do buntowniczego stylu życia. Często wszczynał awantury i brał udział w pijatykach. Pisał satyryczne teksty ośmieszające uniwersytecką politykę, które publikował w szkolnych gazetkach i czasopismach literackich. Z tego powodu popadł w konflikt z władzami uczelni, które odmówiły mu przyznania dyplomu w 1915 roku. Kilka lat później uniwersytet zaproponował mu wydanie dyplomu, lecz odmówił.

Miłownik mitologii greckiej i rzymskiej, dzieł Williama Szekspira, czy prozy sir Thomasa Maloryego, szczególnie uwielbiał dzieło *Śmierć Artura*. Zamiłowanie do klasyki odcisnęło na nim piętno w kwestii budowania postaci i fabuły.

Był jednym z najbardziej płodnych amerykańskich pisarzy. Napisał ponad 300 książek, głównie z nurtu literatury popularnej. Publikował, używając przeróżnych pseudonimów: George Owen Baxter, George Evans, David Manning, John Frederick, Peter Morland, George Challis, Evan Evans oraz Frederick Frost.

Najbardziej znany jest z przesiąkniętych akcją westernów. Do najpopularniejszych należą: *Nieposkromieni*, *Nocny jeździec*, *Siódmy człowiek*, *Córka Dana*, *Biały Wilk*, jednakże największą sławę przyniosły mu powieści o doktorze Jamesie Kildare.

Oprócz wymienionych pisał także romanse historyczne, powieści detektywistyczne oraz powieści szpiegowskie. Zarobił miliony, lecz pieniądze i sława nie miały dla niego znaczenia, a swoje powieści traktował jako sposób zarabiania na życie. Poświęcał się pisaniu poezji i powieści, z których niewielka ilość została opublikowana.

W Polsce wydano dość dużo jego różnych powieści. W PRL, w opublikowanym w 1951 roku *Wykazie książek podlegających niezwłocznemu wycofaniu* umieszczono wszystkie jego utwory, tym samym objęto je cenzurą i podlegały natychmiastowemu wycofaniu z bibliotek. Jego dzieła uznano za firmowane nagannym nazwiskiem, bądź za „zdezaktualizowane”, lub za wydane w „niewłaściwym” miejscu. Jednym słowem jego książki uznano za „szkodliwe” dla współczesnego społeczeństwa polskiego. Głównie chciano zniwelować zainteresowanie Polaków światem, szczególnie Ameryką, tamtejszym życiem i obyczajami. Jego utwory powróciły do bibliotek i księgarni po 1989 roku, w postaci publikacji opartych na wydaniach przedwojennych. Dotyczyło to jednak tylko kilku tytułów, niekoniecznie najciekawszych i najlepszych.

Max Brand



ZŁOTO REWOLWEROWCA

Przełożył Mieczysław Dutkiewicz

[Kup książkę](#)

**Sto dwudziesta dziewiąta publikacja elektroniczna
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Czterdziesty siódmy tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału angielskiego:
Gunman's Gold

© Copyright for the Polish translation by Mieczysław Dutkiewicz, 2023
Przekład ponownie przejrzany i poprawiony przez Tłumacza
Wydanie zrealizowane na podstawie niewyłącznej licencji udzielonej
przez Autora przekładu na okres dziesięciu lat
Przypisy: Andrzej Zydorczak, Mieczysław Dutkiewicz
14 kolorowych kart tablicowych: Dariusz Kocurek
© Copyright for the cover and inside illustrations
by Dariusz Kocurek, 2024

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak
Redakcja: Maria Sarnowska
Projekt okładki: Barbara Linda

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I
© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2024

ISSN 2449-9137
ISBN 978-83-67876-04-9

Rozdział I

Żyła złota!

 strategia Lee Swaina była prosta: zawsze starał się być w odpowiednim momencie we właściwym miejscu. Dzięki niezwyklej umiejętności planowania udawało mu się to tak często, że po pewnym czasie miał już uskładaną sumkę, jaką mógł uznać za początek majątku. Wszystko to osiągnął na wschodzie kraju, a kiedy doszedł do przekonania, że nadszedł czas bardziej rozwinąć skrzydła, postanowił udać się na Zachód.

Jego wybór padł na Deerfoot, gdyż miejscowość ta była oddalona o czterdzieści mil¹ od linii kolejowej, w okolicy znajdowały się farmy hodowlane, tartaki i kopalnie, a poza tym spodziewał się, że w tym niedostępnym terenie znajdzie łatwy pieniądz w dużej ilości. I nie omylił się.

Tu i ówdzie poczynił drobne inwestycje; wkrótce zyskał opinię solidnego, ambitnego członka społeczności, nie mógł jednak do tej pory poszczycić się osiągnięciem tak udanym, by pozwoliło mu ono – już jako bogaczowi – spocząć na laurach. I w tym momencie nastąpiły wydarzenia, stanowiące podstawę niniejszej opowieści – wydarzenia, jakie zrodził czysty przypadek.

Lee Swain nie należał właściwie do ludzi, którzy dają się ponieść emocjom; był z gatunku tych, określanych mianem „praktycznych”. Trudno o definicję człowieka praktycznego. Ten, kto wie, że lepszy wróbel w garści, niż gołąb na dachu, to właśnie typ zwany praktycznym. Tak samo każdy, kto nie traci czasu na marzenia, oraz ci, którzy nie dopuszczają do tego, by miłość, przyjaźń, patriotyzm lub poświęcenie mogły stanąć pomiędzy nimi a pieniędzmi.

¹ *Mila* – tu: mila angielska równa 1609 m, stosowana do wyrażania odległości na lądzie.

W tym oto znaczeniu Lee Swain był człowiekiem praktycznym.

A jednak na drodze do prawdziwego majątku znalazł się dzięki zmysłowi bezużytecznego piękna! Co dowodzi, w jak dużym stopniu nasz dziwny, stary świat działa na zasadzie sprzeczności!

Swain siedział w tylnym pokoju saloonu¹ „Pod Szczęśliwym Trafem”, na samym skraju Deerfoot. Siedział tu, gdyż chciał przemyśleć w samotności swą sytuację, ale również, bo piwo było tu nieco tańsze, niż w centrum miasta. Wreszcie opuścił ręce, którymi zakrywał do tej pory oczy, i wyjrzał przez okno, a wtedy dojrzał na zachodzie wysoką górę, odcinającą się ostro od purpurowo złocistego nieba.

To dziwne, ale ten widok poruszył go, przywołał na pamięć jakieś niesprecyzowane strzępki muzyki, piękne twarze i wytworne słowa – to wszystko, co niekiedy, w chwilach słabości, absorbowało jego myśli.

Wkrótce wstał – zresztą szklaneczka była już i tak pusta – i wyszedł z niewielkiego budynku tylnymi drzwiami, po czym oparł się plecami o ścianę. Spoglądając na płonące niebo, zastanawiał się, czy to prawdziwe ognie i jak ogromna masa użytecznych fabryk mogłaby funkcjonować dzięki tak potężnej energii. Właśnie doszedł do przekonania, że owa energia jest niestety marnotrawiona przez niezmiernie rozrutny wszechświat, kiedy usłyszał, jak trzech mężczyzn wchodzi do saloonu i rozpoczyna rozmowę z właścicielem:

– Hej, Slim, czy tylny pokój wolny?

– Zdaje się, że jest tam Lee Swain – odparł tamten. – Poczekaicie chwilę, zaraz sprawdzę.

Po chwili powiedział:

– Nie, chyba poszedł już do domu i zapomniał zapłacić za piwo.

– Jeden z tych, co to liczą na twój szeroki gest?

– Ależ skąd, Swain jest w porządku. Niewielki, mrukliwy facet, lecz na wskroś uczciwy. Gość z głową i forszą.

¹ *Saloon* – termin używany dla określenia pomieszczenia, gdzie sprzedawany jest w USA alkohol z przeznaczeniem do spożycia na miejscu; w czasach podboju zachodnich terenów Stanów Zjednoczonych w XIX przez białych osadników było to ważne miejsce spotkań oraz spędzania wolnego czasu przez osadników i robotników.

Lee Swain uśmiechnął się i skinął głową.

Pochwała uradowała go podwójnie, uważał bowiem, że na nią zasłużył. Takim właśnie chciał być, do takiego ideału dążył. Jedynie opinia „na wskroś uczciwy” była trochę przesadzona, nie kłóciła się jednak z zasadniczym sensem opisu. Uczciwość to z pewnością najlepsze zabezpieczenie, jeśli nie liczyć określonych, ważnych sytuacji, gdzie nie popłaca już tak bardzo.

– Przynieś nam trochę piwa – odezwał się czyjś głos. – Chyba znasz moich przyjaciół, Slim? to Doc Halpin...

– Bardzo mi miło – odparł Slim.

– Powinieneś też znać Jacka Reynoldsa.

– Jasne, że znam Reynoldsa. Wiem, który to, nie ma przecież na twarzy woalki.

Slim roześmiał się, reszta zawtórowała mu. Miły, młody głos powiedział:

– W porządku, Slim. To znaczy, żeśmy się już skumali.

– No cóż – odparł Slim. – Mam nadzieję, że tak też już zostanie, gdybyś bowiem zmienił zdanie, źle bym na tym wyszedł!

I znowu wszyscy parsknęli śmiechem.

Podczas gdy przysuwali sobie krzesła, siadając wokół stołu, pod słuchujący dowiedział się, jak nazywa się trzeci nieznajomy: Chad Powell.

Wniesiono piwo.

Dwa lub trzy głosy połączyły się, tworząc zgodny pomruk zadowolenia.

– O, to to, naprawdę niezłe – cmoknął Chad Powell.

– Nie ma nic lepszego na świecie – przytaknął mu Halpin. – Wypijmy od razu na drugą nóżkę.

– Nie, przyjacielu, nie tak prędko – zaproponował Powell. – Wypijesz drugie, potem trzecie i będziesz pewnie do niczego. Tymczasem dziś nie możemy do tego dopuścić. Pohamuj trochę pragnienie, a za to już niedługo będziesz mógł sobie pozwolić na mnóstwo piw.

– Tak, może masz rację – odparł tamten. – Może naprawdę będzie mnie stać już niedługo na całą masę piw.

Roześmiał się na całe gardło, jak gdyby ta uwaga miała jakieś ukryte znaczenie.

– Zamknij drzwi, Chad – polecił.

– Tak, lepiej je zamknąć. Zapalę też lampę. Może się okaże, że mamy tu coś, co zainteresuje naszego pocziwego Jacka.

– Czyżbyście, chłopcy, odkryli coś cennego? – zapytał Reynolds.

Jego głos był imponujący, frapujący, czysty. Również opinia, jaka o nim krążyła, była imponująca i frapująca, chociaż niezupełnie czysta.

Ze wzrastającym podnieceniem Lee Swain nadstawił ucha.

– Posłuchaj, co mam do powiedzenia – mówił Halpin – a dowiesz się wszystkiego. Sprawa wygląda tak. Zaryzykowałeś i dałeś nam forszę, myśmy zaś ruszyli w drogę. Kupiliśmy co nieco sprzętu i jeszcze zostało nam trochę gotówki, bośmy nie wydali wszystkiego, coś nam dał, Jack. Postanowiliśmy udać się prosto w góry Willejee – jak najszybciej, na skróty, no i wkrótce jechaliśmy jak para głupców przez pustynię Owena.

Ktoś zagwizdał z podziwem; pewnie Reynolds.

Po chwili Swain usłyszał jego głos:

– To piekielnie gorące miejsce, zwłaszcza o tej porze.

– O mały włos żeśmy nie wyzionęli ducha, zanim wyparowała z nas whisky – odezwał się Powell. – A potem natrafiliśmy na jeden z tych małych strumyków, co to pojawiają się na ziemi nie wiadomo skąd, przepływają kawałek, ze dwadzieścia kroków, a potem znowu znikają w jakiejś norze, niczym pieski preriowe¹, i wtedy...

– Słuchaj, Chad, czy to ja mam opowiadać czy ty? – przerwał mu gniewnym tonem Halpin.

– Dobra, opowiadaj ty – machnął ręką Powell. – Wszyscy wiemy, że przepadasz wręcz za tym, żeby wygadać się do woli.

– Napiliśmy się wody ile wlało – zaczął znowu Halpin. – Było nam tak piekielnie gorąco i tak ciężko chodziło się po tym piachu,

¹ *Piesek preriowy* (nieświszczuk, *Cynomys*) – rodzaj ssaka z podrodziny afrowiórek (*Xerinae*) w rodzinie wiewiórkowatych (*Sciuridae*); nieduże zwierzę mające do 30 cm długości (z ogonem do 40 cm); żyje w Ameryce Północnej i Środkowej; nazywany jest „pieskiem”, ponieważ w chwili zagrożenia lub zainteresowania wydaje odgłosy podobne do szczekania.

żeśmy zaczęli w końcu myśleć o tym, czy by nie zawrócić i obejść pustynię. Wiesz, kiedy patrzysz na te kamienie i piach przez dłuższy czas, zaczynają boleć cię oczy, a potem nawet mózg.

– To prawda – przyznał Reynolds. – Pustynia Owena to diabelska dziura!

– Ale woda dodała nam sił i wkrótce wyruszyliśmy w dalszą drogę z pełnymi menażkami i napojonymi końmi. Myśmy też ugasili pragnienie. Posuwaliśmy się tak do przodu chyba z godzinę; powoli, ale bez przerwy, kiedy nagle tuż przed nami wyskoczył jakiś głupi zając. Wtedy ten oto Powell, niech go diabli! chwytając za karabin i strzelając, a co na to zając? Zaczyna umykać jak oszalały! „– Przynajmniej go nastraszyłem, mówi Chad. – Akurat, ja na to, trafiłeś w skałę. – Mało brakowało, a bym go zabił, upiera się Chad. – Gadanie!” – mówię. Ściągnęliśmy konie i zaczęliśmy się sprzeczać, jak dwóch głupców: trafił blisko zająca czy daleko, nagle patrzę – a tu coś połyskuje żółtawo, tak jakby płomyk świecy w nocy, na samym końcu skały. Wydało mi się to dziwne, podchodzę więc bliżej, aby rzucić lepiej okiem, a tam, wyobraź sobie, kula Chada odłupała kawałek kamienia...

– To nie moja kula – zaprzeczył energicznie Powell. – Trafiłem przecież w piach, tuż obok zająca. Widziałem nawet, jak piach trysnął na boki.

– Piach trysnął, bo zając skrobnął łapą – zaoponował Halpin.

– Nieprawda – upierał się Powell. – Mam lepszy wzrok niż ty i widzę doskonale, gdzie...

– Chwileczkę, chłopcy – przerwał im Jack Reynolds. – Powiedzcie wreszcie, co to było. Dlaczego skała błyszczała tak żółto?

Halpin odparł ściszonego głosem:

– Złoto! Żył złota!

Te słowa przeszły niczym iskry elektryczne umysł i wyobraźnię Lee Swaina, podsłuchującego na zewnątrz.

Żył złota! Słyszał już o gniazdach kruszcu, wartych tysiące dolarów, żyłach, jakich nie można objąć jedną ręką.

Dobiegl go znowu ochrypla, przejęty głos Halpina:

– Skała była zwietrzała, tak bardzo, że aż czarna. Można było rozwalić ją na kawałki kopniakiem. Wysadziliśmy ją i okazało się, że cała jest upstrzona nitkami złota. Rozejrzeliśmy się dokładnie i odkryliśmy kilka innych skał, ustawionych w szeregu – i wszystkie kryły w sobie to samo. Znajdowały się nad uskokiem. To na pewno odłamki prawdziwej żyły złota, powiedzieliśmy sobie, wyrąbaliśmy więc szyb i wkrótce... lepiej ty mu powiedz, Chad!

– Jesteśmy bogaci – oznajmił Powell. – Jesteśmy bogaci, każdy z naszej trójki. Będziemy tarzać się w złocie, możesz mi wierzyć. Jesteśmy milionerami, mamy...

– Powiedz mu, cośmy znaleźli! – wychrypiał Halpin.

– Mamy bryłkę; nigdy jeszcze nie widziałem tak dużej – zawołał Powell.

Swaina dobiegł teraz odgłos uderzenia.

– Zabiję cię za to, ty psie! – wrzasnął Powell.

– To ja cię zabiję, Chad – odparł Halpin tonem ostrym jak nóż. – Zatlukę cię, jeśli jeszcze raz krzykniesz o naszym złocie tak głośno.

– Tak, masz rację – mruknął Powell. – Niepotrzebnie darłem się na całe gardło. Ale nie potrafię mówić o tym spokojnie, to zbyt piękne! Posłuchaj, Jack, złoto można wybierać stamtąd całymi szuflami! Jest tego tak dużo, że można oszaleć!

– Ta żyła jest gruba jak ręka – dodał Halpin. – Przekonaliśmy się o tym i wtedy postanowiliśmy wyjść z szybu, wrócić tu jak najszybciej i zaprowadzić cię tam – żebyś przekonał się na własne oczy. Pojedziemy na miejsce, popracujemy jeszcze trochę i dobierzemy się wreszcie do właściwej żyły, a potem zarejestrujemy nasze trzy działki! Jak ci się to podoba, synu?

– To wy, chłopcy, znaleźliście żyłę, jest więc wasza – odparł Jack Reynolds. – Należy do was, tylko do was dwóch.



Rozdział II

Morderstwo

Żroniczny, wzgardliwy uśmiech wykrzywił usta Swaina. Słowa Reynoldsa świadczyły o przesadnej wielkoduszności tego skończonego durnia. Trudno było nawet wyobrazić sobie większą głupotę!

– Przecież to wy, chłopcy, pracowaliście w tym szybie w pocie czoła. Wyście męczyli się na pustyni Owena. Wiem, jak tam jest – mówił dalej Reynolds. – Nie mógłbym uznać za swoje coś, co znalazł kto inny!

– Posłuchaj, głupcze – odezwał się Powell. – Czyżbyś nie znał tego terenu? Nie wiesz, ile tam miejsca? Nawet tuzin facetów mogłoby zarejestrować tam działki, może nawet stu, nie wiem. Ale śmietankę zgarnie nasza trójka. To właśnie nam przypadnie w udziale prawdziwa żyła, a kiedy już się nią nasycimy, zastanowimy się, kto jeszcze zasłużył sobie na to, aby skorzystać z naszej pomocy. Tych wybranych zaprosimy tu, aby też mogli zarejestrować swoje działki i wzbogacić się – jak my. A potem zaśmiejemy się samemu diabłu w twarz... będziemy bogaci... będziemy opływać w złoto i...

– Spokojnie, chłopcze – przerwał mu Halpin.

– Posłuchajcie, przyjaciele – odezwał się znowu Reynolds, a w jego głosie zabrzmiała jakaś pełna nonszalancji duma. – Nieraz korzystam z tego, co mi wpadnie w ręce, ale tylko wtedy, gdy uznam, że mam do tego prawo. Pożyczyłem wam parę setek, to prawda, ale to jeszcze nie znaczy, że wezmę teraz za to kilkaset tysięcy, o nie! Czuję się wtedy jak szuja!

– A to dlaczego? – zapytał z powagą Halpin. – Wiesz przecież, jakie są fakty. Byliśmy niczym innym, jak parą włóczęgów, kręcących się tu i tam, bez centa przy duszy. Ty wiedziałeś o nas wszystko, wiedziałeś, że siedzieliśmy kiedyś w kiciu...

– Zamknij się Doc! – wtrącił Powell.

– Wszystko o nas wiedział – mówił z uporem Halpin. – Słyszałem, jak szeryf gadał z nim i powiedział mu, kim jesteśmy. Ale on nie przejął się tym. Pamiętam bardzo dobrze, coś rzekł, Reynolds. Że dopisało ci szczęście, które kosztowało cię tyle, co nic, a to jest tylko jego częśćka. Tak powiedziałeś, dając nam forszę. A ja nie mam w zwyczaju zapominać o czymś takim.

– Ani ja! – zawtórował mu Chad.

– Nikt z nas nie mógłby o tym zapomnieć – tłumaczył Halpin. – Jesteś jednym z nas, Jack. A ja jestem szczęśliwy i Chad też jest szczęśliwy, bo wszystko ułożyło się po naszej myśli.

Uderzył pięścią w stół. Lee Swain drgnął z lekka.

– Wyruszymy jutro z rana, a ty razem z nami – powiedział Powell.

– Sam nie wiem – mruknął Jack. – Mówiąc prawdę, jestem już tym wszystkim oszołomiony. Dobrze, pójdę z wami, jeśli naprawdę tego chcecie... tylko że nie lubię mieszać szyków przyjaciółom.

– Mieszać szyki? Przejmiesz po prostu to, co mamy w nadmiarze, to wszystko – sprostował Halpin.

– A to kilka próbek – wykrzyknął Powell. – Spójrz!

Rozległ się brzęk kamyków, kilka z nich spadło na podłogę.

Z ust Halpina wydobyły się siarczyste przekleństwa.

– Co ty wyrabiasz? – szepnął gorączkowo. – Chcesz powiedzieć całemu światu o naszym złocie?

– Schowajcie to! – zawołał Reynolds. – Szybko! Czasem wystarczy sam blask złota, aby wypalić człowiekowi mózg!

Pozbierali bryłki, po czym oddalili się spieszenie.

Upłynęło pół godziny i przez frontowe drzwiczki powolnym krokiem wszedł do saloonu Lee Swain.

– Zapomniałem zapłacić za piwo, Slim – powiedział.

– W porządku, Swain – uśmiechnął się właściciel. – W moim saloonie nie musisz kłopotać się rachunkiem. Napij się jeszcze trochę?

– To dla ciebie – odparł Swain, kładąc pieniądze na kontuarze – i daj mi jeszcze piwa. Jeśli tylny pokój jest wolny, pójdę tam. To dobre miejsce, żeby posiedzieć i podumać.

– Tak, jest tam chłodno i przytulnie – powiedział Slim.



– A to kilka próbek – wykrzyknął Powell. – Spójrz!
Rozległ się brzęk kamyków, kilka z nich spadło na podłogę.

[Kup książkę](#)

Własnoręcznie zaniósł szklankę pieniącego się piwa do tylnego pokoju, machinalnie wytarł blat stolika i dostawił krzesło dla Swaina. Potem wyszedł, a Lee natychmiast rzucił się na podłogę.

Niemal od razu znalazł to, czego szukał. Jego uwagę ściągnął błysk, a po chwili ścisnął już w dłoni odłamek skały, ozdobionej deseniem, który przypominał prymitywny rysunek drzewa, wykonany ręką dziecka – a linie te stanowiły drobne żyłki złota!

Swain opadł na krzesło i siedział tak przez dłuższą chwilę z zamkniętymi oczami. Nareszcie, pomyślał, nareszcie świat wynagrodził moją pomysłowość, zręczność i cierpliwość. Oto trafia mi się szansa zdobycia olbrzymiej fortuny.

Było jednak coś, co kładło mu się dotkliwym ciężarem na serce: świadomość, że musiałby się podzielić tym skarbem z jeszcze trzema osobami!

Nie mógł się z tym pogodzić. Tamci nie byli wiele warci; włóczędzy, którzy odsiedzieli nawet wyrok w więzieniu oraz ten trzeci, znany rewolwerowiec.

I właśnie z nimi miałby dzielić się Lee Swain, człowiek tak praktyczny, zdolny do wykorzystania każdej sposobności, by powiększyć swój majątek!

Gwałtownie odsunął krzesło i wyszedł na ulicę.

Usłyszał jeszcze za sobą głos urażonego właściciela saloonu:

– Hej, Swain! Nie wypileś swego piwa! Co się stało? Czyżby ci nie smakowało?

Ale Swain, nie bacząc na to, szedł spieszenie przed siebie.

Właśnie takie drobiazgi składają się na brzemiennie w skutki błędy. Lee powinien był zostać i docić piwo. To proste – zdawało by się – przeoczenie miało go drogo kosztować!

Swain wszedł do swego pokoju w hotelu i natychmiast zaczął szykować się do drogi. Przede wszystkim przygotował sobie dwa niezawodne colty kalibru 45 oraz winchester¹ powtarzalny.

¹ *Winchester* – strzelba produkowana przez amerykańską firmę Olivera Winchestera od roku 1866, było jej wiele rodzajów, powtarzalna, ładowana dżwignią, najpopularniejszy był Model 1873.

Kiedy po raz pierwszy przybył na Zachód, nie strzelał zbyt dobrze, ale ustawiczna praktyka zdołała uczynić cuda!

Po spakowaniu wszystkich niezbędnych rzeczy usiadł i zaczął obmyślać plan.

Następnie zszedł do niewielkiego hallu i zwrócił się do mężczyzny stojącego za pulpitem.

– Słyszałem – powiedział – że w górach Willejee natrafiono na ślady złota, chyba też srebra.

– Coś panu powiem, mister Swain – odparł tamten. – Kiedy tylko zdobędę forszę na sprzęt, polecę w góry Willejee jak na skrzydłach. Niech mi pan wierzy: tam leżą miliony!

– Ja wyruszam jutro – powiedział Swain – i przejdę pustynię Owena w poprzek. To najkrótsza droga.

– Ale i najgorętsza – odparł urzędnik. – Może mi pan wierzyć: pustynia Owena to prawdziwy piec. Co do mnie, nie poszedłbym tą drogą.

– Może jest tam istotnie bardzo gorąco – obstawał przy swoim Swain – ale jeśli góry Willejee kryją w sobie naprawdę takie bogactwo, jak się o tym słyszy, to warto się namęczyć, aby tylko zdążyć przed innymi.

Wrócił do swego pokoju i przeleżał bezsennie całą noc, wpatrując się w ciemność. Od dawna czuł w duchu, że kiedyś nadejdzie czas, kiedy on znajdzie się na bakier z prawem, że nie będzie miał innego wyjścia. Może ta pora właśnie nadeszła! Jeśli tak, nie zamierzał się cofnąć przed niczym. Leżał tak całą noc, przekonując sam siebie, że nie może się teraz wycofać.

Z pierwszym brzaskiem zerwał się na równe nogi, przytroczył swoje rzeczy do muła, dosiadł wierzchowca i opuścił miasto, kierując się ku pustyni Owena.

Zaledwie ujechał milę, skrył się za rozłożystym krzewem, kiedy zaś Reynolds, Halpin i Powell minęli go, podążył za nimi. Nie zbliżał się do nich zanadto, bojąc się, że go zauważą, miał jednak doskonałą lornetkę, mógł więc stale ich obserwować.

Jechał ich śladem powoli, utrzymując bezpieczny dystans, aż znaleźli się w rozległym piecu pustyni.

Swain nadal podążał ostrożnie za trójką poszukiwaczy złota, dziwiąc się, dlaczego po twarzy spływa mu pot i niemal natychmiast zamienia się w zaschłe strużki soli. Nie zdawał sobie w ogóle sprawy z piekielnego żaru, głowę zaprzątą miał czymś innym, przekonany, że oto zbliża się do Ziemi Obiecanej.

Późnym popołudniem tamci rozłożyli się obozem w pobliżu gigantycznych bloków skalnych, rozrzuconych jak okiem sięgnąć po całym terenie.

Swain przykucnął za skałą o pół mili dalej, obserwując przez lornetkę poczynania tamtej trójki; mężczyźni gorliwie kopali w ziemi.

A więc tu było złożo, a tamci otwierali właśnie bajeczną żyłę złota. Odkryli miejsce warte miliony!

Zbliżał się już wieczór, kiedy jeden z nich odjechał, prowadząc również konie swoich kompanów. Nie ulegało wątpliwości, że zmierzał do strumyka, który – według słów poszukiwaczy złota – płynął na odcinku dwudziestu kroków, a potem znikał w jakiejś jamie, niczym kret.

Swain skierował na niego lornetkę i obserwował go bacznie przez dłuższą chwilę, aż upewnił się, że ów jeździec to Jack Reynolds.

Momentalnie podjął decyzję. Wszystko stało się nagle jasne, on zaś działał bez namysłu, jak gdyby wiedział od samego początku, co należy uczynić.

Najprostszą drogą podszedł do szybu, a kiedy dzieliło go od niego już tylko dziesięć kroków, skrył się w załomie skały.

Wkrótce pojawił się Powell, zdjął kapelusz i otarł sobie pot z czoła i nalanej twarzy.

– Powiem ci, że tu jest jeszcze goręcej, niż tam w środku! – wykrzyknął. – I, wiesz...

To były jego ostatnie słowa. Lee Swain wycelował dokładnie i strzelił, trafiając go między oczy.

Powell runął na ziemię i znieruchomiał.

– Hej, co się tam dzieje? – rozległ się głos Halpina, nieco przytłumiony i daleki.

W następnej chwili zaczął gramolić się z jamy, stanął na ziemi i osłupiały wlepił wzrok w swego przyjaciela.

Trwało to ułamek sekundy, ale i ta chwila wystarczyła Swainowi. Wystrzelił po raz drugi, również tym razem trafiając między oczy, a potem patrzył, jak ciało ofiary pada na zwłoki Powella.

Wszystko odbywało się zgodnie z planem, jaki sobie ułożył.

Teraz, kiedy pozbył się już dwóch mniej groźnych przeciwników, mógł poczekać spokojnie na osławionego Reynoldsa, po czym zabić go, kiedy ten, nie przeczuwając niczego, wróci z wodą.

Wiedział, że powinien teraz przede wszystkim wrzucić ciała do szybu.

Nie mógł jednak odmówić sobie przyjemności spojrzenia na złoto, musiał uczynić to w pierwszym rzędzie.

Ogarnięty tą przemożną żądzą, wszedł do szybu i wtedy, ku swemu osłupieniu, ujrzał, że to martwa dziura! Nigdzie ani śladu złota, jedynie bloki skalne, pozbawione wszelkiej wartości!



Rozdział III

Fałszywy trop

Feraz zrozumiał wszystko. Halpin i Powell ubzdurali sobie jakąś teorię o kierunku, w jakim miałyby przebiegać żyła złota. Przypuszczali, że wyłoni się ona w określonym miejscu, a kiedy tam przybyli, zaczęli w porozumieniu z Jackiem Reynoldsem kopać, aby przekonać się, czy jest tu coś godnego uwagi. Nie musieli się spieszyć: ich miliony czekały już na nich!

W ten sposób wykopali zupełnie bezużyteczną jamę. On zaś, Lee Swain, zabił niepotrzebnie dwóch ludzi!

Nie czuł żadnych wyrzutów sumienia, jedynie lekki niepokój.

Był przekonany, że dobrze obmyślił plan działania, martwiło go jednak, że jak na razie – nie odniósł sukcesu. Zrobił wszystko, jak należy, aż do momentu, kiedy zabił tych dwóch. Ale los okazał się dla niego okrutny. Gdzieś w okolicy znajdował się skarb, odkryty przez tamtych. Nawet Jack Reynolds nie wiedział dokładnie, gdzie to jest. Jedno było pewne: pustynia Owena obfitowała w czarne skały, zawierające złoto. Ale czarne kamienie leżały na tej pustyni co krok. W jaki sposób wyłowić te właściwe?

A więc wszystko na próżno. On, Lee Swain, może wprawdzie zacząć przeszukiwać całą pustynię, aby znaleźć miejsce, skrywające skarb, nie ulegało jednak wątpliwości, że pierwszy podmuch wiatru, nawet ten, jaki zerwał się właśnie, zatrze wszelkie ślady.

Czym prędzej wrócił na miejsce, gdzie zostawił zwierzęta, dosiadł konia i ruszył do Deerfoot.

Dotarł tam dopiero nad ranem i odszukał biuro szeryfa. Ale nie zastał tam szeryfa!

Przyszedł mu do głowy ktoś inny: zawzięty i srogi zwolennik prawa i porządku, typowy przedstawiciel ochotniczej straży obywatelskiej.

Nazywał się Pringle i właśnie do niego udał się mały Lee Swain.

Wszedł do kuchni, obserwował przez chwilę cienkie obłoczki dymu, unoszące się z patelni, na której Pringle smażył naleśniki, wreszcie powiedział:

– Pringle, wdepnąłem w brudną sprawę.

– Tak, tu i ówdzie można natknąć się na brudne sprawy, zdarzają się coraz częściej – pokiwał głową Pringle.

– Dwa trupy na pustyni Owena – dodał Swain.

Pringle podrzucił naleśniki i aż wykrzyknął z radości, kiedy wylądowały na patelni tak jak należy, drugą stroną. Trochę wilgotnego ciasta ściekło przy tym na podłogę, wylądowało nawet na jego koszuli, ale nie zdołało to zaćmić jego satysfakcji z tak udanego podrzutu gorących placków.

– Dwa trupy? – zapytał.

– Jechałem w stronę gór Willejee – zaczął opowiadać Swain, a na jego drobnej twarzy malowała się powaga. – Spieszyłem się, bo pustynia Owena to gorące piekło, chciałem więc przejechać ją jak najprędzej. Słyszałem mnóstwo opowieści o złocie w górach Willejee i postanowiłem przekonać się sam, ile w tym prawdy.

– W górach Willejee nie ma żadnego złota – odrzekł Pringle.

– Możliwe – odparł Swain. – W każdym razie jechałem przez pustynię i nagle zauważyłem rozkopaną ziemię, a obok dwóch mężczyzn, jeden leżał na drugim. Podszedłem bliżej, aby rzucić na nich okiem. Ludzie nie leżą tak nieruchomo na słońcu, tym bardziej na takim słońcu, jakie jest w tych górach. O nie! No i okazało się, że nie bez powodu leżeli tak nieruchomo. Między oczami mieli dziurkę po kuli.

– Każdy z nich?

– Tak, jeden i drugi.

– Dokładnie między oczami?

– Tak.

– Świetni strzelcy – powiedział Pringle. – Pewnie pozabijali się wzajemnie, co?

– Tak też pomyślałem, ale obok nich nie było żadnej broni.

– Coś takiego!

– Tak, ani śladu po broni.

– To ciekawe – orzekł Pringle.

– Mnie też wydało się to ciekawe – odparł Swain – i to do tego stopnia, że od razu zawróciłem i pospieszyłem do Deerfoot. Pędziłem przez całą noc.

– Tak? – mruknął Pringle. – Niech pan usiądzie i poczęstuje się gorącymi naleśnikami. W tych stronach nikt nie umie przyrządzać ich tak jak ja. Niestety nie mam syropu klonowego¹, ale przepaliłem trochę cukru – jest prawie tak samo dobry. Ugryź pan kęsa i powiedz sam, czy to nie wspaniale.

Swainowi już od dawna doskwierał głód, nie czekał więc na powtórne zaproszenie. Był wdzięczny losowi, że zetknął go z takim człowiekiem, jak Pringle.

Jedząc, przekazywał kolejne informacje – o nalanej twarzy Powella, o rudych włosach i bliźnie na czole Halpina.

– Cóż – powiedział Pringle – przede wszystkim wiem, kim są zabici. Po drugie: wiem, kto ich zabił. Po trzecie: zrobię wszystko, by dopaść tego psa, który ich zamordował.

– Wie pan, kto to? – zdziwił się Swain.

– Dwaj byli więźniowie, których widziałem niedawno w Deerfoot – wyjaśnił Pringle. – Jeden nazywa się Powell, a drugi to Doc Halpin. Zabił ich typ, który wczoraj rano wyjechał z nimi z miasta. Nazywa się Jack Reynolds!

– Może mieli ze sobą od dawna na pieńku?

– Swain – odparł Pringle. – Bystry z pana facet. Nikt w to nie wątpi. Ale może nie jest pan tu wystarczająco długo, by wiedzieć, co to rewolwerowiec.

– Wiem coś niecoś na ten temat – mruknął Swain. – Ale bardzo proszę, niech pan mówi.

– Rewolwerowiec – zaczął Pringle – to facet, który strzela celniej i szybciej, niż dziewięćdziesięciu dziewięciu facetów na stu. A kiedy już się przekona, jak jest dobry, zaczyna łatwo tracić cierpliwość. No i wtedy zdarza się, że kogoś zabija. W samoobronie, rozumiesz pan?

¹ *Syrop klonowy* – zagęszczony sok pozyskiwany z nacinanych lub nawiercanych pni klonu (cukrowego, czarnego i czerwonego), z którego następnie przez ogrzewanie odparowywano wodę, zastępował cukier.

– Jasne – odparł Swain.

– A potem zabija drugiego, trzeciego, i zawsze działa w samoobronie. Wszędzie natrafia na durniów, którzy podziwiają go i bardzo szybko zabijanie ludzi staje się zaszczytną karierą dla każdego, kto strzela szybko i celnie.

Druga porcja naleśników była już gotowa i Pringle zasiadł przy stole, aby się posilić.

– I tak to się ciągnie – mówił dalej. – Facet nie może już przestać mordować, sprawia mu to zbyt wielką przyjemność. Im więcej zabitych, tym bardziej mu się to podoba. Tak właśnie ma się sprawa z Jackiem Reynoldsem. Kiedy zjawił się tu, nie był wcale taki zły. Kłopot w tym, że strzelał za dobrze. To właśnie zrobiło z niego rewolwerowca.

– Ale po co by zabijał tych dwóch? – zapytał Swain.

– Czy ja wiem? – zastanowił się Pringle. – Może jeden z nich powiedział, że jest straszny upał, a Reynolds był innego zdania, zastrzelił więc jednego, bo nie zgadzał się z nim, a potem drugiego, aby nie wyjść z wprawy. Nie trzeba wcale mieć ważnego powodu, by zabić człowieka, w każdym razie taka jest zasada facetów, strzelających szybko i celnie.

– Jak widzę, dowiaduję się od pana wielu rzeczy, które mogą mi się kiedyś przydać.

– To świadczy o tym, że ma pan głowę na karku – powiedział Pringle. – Widziałem już niejednego żółtodzioba; większość z nich myśli, że po pierwszym nabytym siniaku może uważać się za stare wygi.

– No cóż – westchnął Swain. – Zatrzymałem się przed domem szeryfa, ale nie było go tam. Przyszedłem więc do pana, Pringle. Uchodzi pan za czołowego obywatela Deerfoot, jeśli idzie o utrzymanie w mieście porządku. Co do mnie – dodał – jestem przyzwyczajony do przestrzegania prawa i nie muszę chyba zaznaczać, że dołożę wszelkich starań, aby wyjaśnić tę sprawę. W ogóle dochodzę do przekonania, że tu, na Zachodzie, życie ludzkie nie znaczy zbyt wiele.

– To prawda – przytaknął Pringle. – Zaraz skończę śniadanie, a potem zbiorę najlepszych ludzi, jakich znajdę w mieście. Będą potrzebni do schwytania tego Reynoldsa. Może już wkrótce usłyszysz pan ciekawe wieści.

Lee Swain wrócił do hotelu i każdemu, kto chciał go wysłuchać, opowiadał swą historyjkę. Udawał bardzo wzburzonego i oświadczył, że na razie zrezygnuje ze swego zamiaru udania się w góry Willejee.

Potem położył się i natychmiast usnął. Obudził się nazajutrz rano.

Kiedy wstał, był już całkowicie spokojny. Nawet uważny obserwator nie dostrzegłby w nim czegoś podejrzanego.

Sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie, a jego dobry humor poprawił się jeszcze bardziej po zjedzeniu śniadania.

Powrócił myślami do ostatniego wydarzenia i nabrał przeświadczenia, że wszystko, co uczynił, może jeszcze obrócić się na jego korzyść.

Pojedzie przeszukać pustynię Owena, sprawdzi każdy kamień, jeśli będzie to konieczne, będzie badać cały teren tak długo, aż odnajdzie właściwe miejsce. A wtedy już jego głowa w tym, aby powiększyć majątek, wzbogacić się jeszcze bardziej w ciągu zaledwie jednego roku. Będzie jeszcze kimś wielkim, znajdzie się na ustach całego narodu.

Był teraz święcie przekonany, że ktoś taki jak on, kto potrafi wszystko zaplanować równie dokładnie jak on to uczynił, musi osiągnąć sukces. Mimo woli uśmiechnął się na samą myśl o tym, z jaką łatwością skierował Pringle'a na fałszywy trop.

No cóż, Reynolds to tylko rewolwerowiec – i niezależnie od wszystkiego zasłużył na taki los!

Sumienie Swaina było czyste, a – co więcej – miał poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Dwóch byłych więźniów i rewolwerowiec – nie, doprawdy, pozbycie się takich typów nie może być uznane za zły uczynek!

Upłynął jednak jeszcze cały następny dzień, zanim doszły go wieści o wynikach pościgu.

A wyniki były istotnie bardzo pomyślne!

Okazało się, że grupa pościgowa, która udała się w kierunku pustyni Owena, natknęła się w samym sercu górzystej krainy na młodego Jacka Reynoldsa. Najwidoczniej nie spodziewał się prześladowców, gdyż beztrasko jechał przed siebie i w ten sposób wpadł im prosto w ręce.

Kiedy jednak został pojmany, zaczął bronić się ni stąd ni zowąd z zaciekłością, która aż nadto wyraźnie mogła by posłużyć za dowód jego winy.

Postrzelił i poważnie ranił dwóch mężczyzn; stan trzeciego był bardzo ciężki. Następnie otrzymał silny cios w głowę i został obezwładniony.

Teraz wieźli go do miasta, aby zawisł na stryczku na oczach wszystkich mieszkańców – tę oto wiadomość Pringle przekazał do Deerfoot. Ale powrót miał trwać długo, bardzo długo, ze względu na rannych, którzy nie byli w stanie przebyć w ciągu dnia więcej niż kilka mil.

Słyszając to wszystko, Lee Swain uśmiechnął się. Miał ochotę roześmiać się na cały głos. Wiedział przecież, że nie ma lepszego sposobu na zamknięcie sprawy o zabójstwo, niż ukaranie tego, kogo ogół uważa za sprawcę zbrodni.

Ani przez chwilę nie wrócił myślą do owej szklanki piwa, którą zostawił niewypitą w saloonie „Pod Szczęśliwym Trafem”.



Rozdział IV

Shannigan

Kiedy Arthur Howison znalazł się pośrodku mostu, zatrzymał się na chwilę i skierował wzrok na obie części San Andreas: różniły się między sobą pod względem charakteru tak wyraźnie, jak gdyby dzieliły je tysiące mil i wiele stuleci, nie zaś wąski strumyk.

Amerykańska część miasta miała regularny układ domostw, a ponad obszerne dachy wznosiły się wierzchołki drzew, rosnących wzdłuż ulic od trzydziestu już lat. Tu czuło się atmosferę dobrobytu i komfortu. Ale po drugiej stronie rzeczki widać było chaotyczną płataninę małych, czworokątnych lepierek z suszonej gliny, pomalowanych na białe i odbijających ostro jaskrawy blask słońca. Tu i ówdzie rosło kilka drzew; ale wyglądały teraz tak, jakby zielone gałęzie stały w płomieniach.

Howison spoglądał na tę część miasta, mrużąc oczy, po czym potrząsnął głową. Jednak dom, którego adres miał na kartce w kieszeni, musiał znajdować się właśnie tam, ruszył więc przed siebie wolnym, miarowym krokiem, typowym dla mężczyzn w średnim wieku.

Na zakurzonych i krętych uliczkach dzielnicy meksykańskiej upał dawał się jeszcze bardziej we znaki. Howison kilkakrotnie zdejmował kapelusz i ocierał pot z czoła zupełnie już mokrą chusteczką.

Wreszcie zauważył grupkę młokosów, bawiących się mimo żaru na brudnej ulicy. Było ich z pół tuzina. Zwrócił się do nich, jako że adres otrzymany uprzednio nie był zbyt dokładny. Potrzebował dodatkowych informacji. Nie mówił biegle po hiszpańsku, ale wystarczająco dobrze, by zadać pytanie:

– Może mi powiecie, gdzie mógłbym znaleźć *señora* Shannigana?

Momentalnie zapadła cisza, tumany kurzu leniwie opadały na ziemię. Po chwili najstarszy z grupy powiedział:

– On chce do *señora*!

– Ale przecież o tej porze to niemożliwe – odparł natychmiast drugi.

– Przybywam z bardzo daleka – oświadczył Arthur Howison – i muszę zobaczyć się z panem Shanniganem. Pokażcie mi tylko, który to jego dom.

Pokazali mu go. Dom był oddalony od placu o niecałe sto metrów i wyglądał jak długa, wysoka i otynkowana na biało ściana, w której znajdowało się jedno wejście – na podobieństwo portalu w zamku. Howison zapukał, ale jeden z chłopców wskazał na uchwyt sznurka od dzwonka i pociągnął dwa lub trzy razy. Z głębi domu dobiegł ich przytłumiony dźwięk gongu. Chłopcy rozpięchli się w mgnieniu oka.

Drzwi otworzyły się, a w cieniu pojawiła się niebieskooka dziewczyna, w wieku co najwyżej dwudziestu lat.

W pierwszej chwili dostrzegła tylko chłopców, zawołała więc do nich po meksykańsku:

– Ach wy, nicponie, jeśli nie przestaniecie przeszkadzać, podam *señorowi* wasze imiona!

Jej słowa wywołały zgodny, żarliwy protest wyrostków.

– My tylko przyprowadziliśmy jego przyjaciela!

Dopiero teraz zauważyła Howisona i skinęła głową.

– O tej porze *señor* nikogo nie przyjmuje – oświadczyła. – Będzie pan musiał przyjść do niego kiedy indziej.

– Ale kiedy? – zapytał Howison, przytrzymując ręką drzwi, które dziewczyna chciała już zamknąć. – Przebyłem szmat drogi. Czy pani mówi po angielsku?

– Oczywiście, dlaczego nie miałabym znać angielskiego? – zapytała i zmierzyła go bardzo otwartym i krytycznym spojrzeniem.

– Sprawa, z jaką tu przybyłem, jest niezwykle ważna i pilna – wyjaśnił Howison. – Faktem jest, że liczy się każda minuta. Jeżeli w ogóle mógłbym widzieć się z panem Shanniganem, muszę uczynić to natychmiast!

– Doprawdy? – zapytała dziewczyna tak obojętnie, jakby jego słowa nie wywarły na niej żadnego wrażenia. – Tylko że teraz jest pora poobiedniego odpoczynku i *señor* nigdy nie przyjmuje w tym czasie. Dziś i tak złamał już raz tę regułę. Ktoś jest teraz u niego.

– A więc, skoro załatwia teraz interesy, proszę mnie do niego wpuścić – nalegał Howison.

Spojrzała na niego niezdecydowanie i lekko potrząsnęła głową.

– Może stracę przez to posadę – powiedziała – ale dobrze, zaryzykuję. Odczepię potem dzwonek, żeby nikt już dziś nie przeszkadzał. Proszę wejść!

Wprowadziła go do małego pokoju, pogrążonego w cieniu i cudownie chłodnego. Przez środek przepływał strumyk i Howison dostrzegł teraz płytkie wgłębienie w podłodze, przeznaczone na odpływ wody. Dwa lub trzy fotele z plecionej wikliny zdawały się zapraszać strudzonego gościa, by usiadł i odpoczął. W kącie stał parawan zmontowany z indiańskich pióropuszy, a na ścianie wisiała głowa jaguara z wyszczerzonymi zębami. Mebli nie było dużo, ale przynajmniej tyle, że Howison odniósł wrażenie, jakby po skąpanej w słońcu ulicy znalazł się w małym, egzotycznym, zacisznym świecie.

– W jakich godzinach przyjmuje mister Shannigan? – zapytał.

– Od wpół do ósmej do ósmej rano – wyjaśniła – jeżeli nie śpi i od wpół do siódmej do siódmej wieczorem, o ile jest akurat w domu.

Nie mógł pohamować gestu zdziwienia.

– Ale skąd ludzie mają wiedzieć, czy nie śpi, albo czy jest w domu?

– Nikt tego nie wie. Po prostu trzeba próbować – odparła. – Pójdę teraz i powiem mu, że chciałby się pan z nim zobaczyć.

Otworzyła jakieś drzwi.

– Nie, jest jeszcze zajęty – oznajmiła.

Howison wyrzwał przez drzwi na wewnętrzny dziedziniec, ocieniony kilkoma niewysokimi, lecz rozłożystymi akacjami. W samym środku patia¹ połyskiwała srebrzyście sadzawka, cienki strumyk wody z fontanny bił w górę i z orzeźwiającym pluskiem wpadał z powrotem do sadzawki.

W tym samym momencie Howisona dobiegł szorstki, męski głos, mówiący po hiszpańsku:

– Czy słyszysz mnie, Pedro?

¹ *Patio* (hiszp.) – w architekturze hiszpańskiej mały otwarty dziedziniec wewnętrzny, zwykle o kamiennej posadzce, często otoczony krzewami.

– Słyszę każde słowo, *señor* – odparł ktoś młody o wystraszo-
nym głosie.

– Jesteś wpisany do akt policyjnych. Mają cię zatem na oku. A ja
będę na ciebie uważał. Jeśli dam im znać, oni przyjdą po ciebie. Na-
prawdę myślisz, że nie wiem, jaki z ciebie gałgan?

– *Señor* wie wszystko – odparł tamten pokornie.

– Wiem, że grywasz ciągle w karty i że nauczyłeś się przy tym róż-
nych sztuczek. Będę na ciebie uważał, Pedro, pamiętaj o tym. A teraz
idź do hallu i poczekaj. Mam coś do powiedzenia twemu ojcu.

Howison usłyszał echo oddalających się spiesźnie kroków, a na-
stępnie ten sam szorstki, choć przyciszony nieco głos:

– Więc tak, Jose: ostrzegłem go i jeśli będzie pan nadal postępował
tak głupio, zmusi mnie tym samym do spełnienia groźby. Od tej pory
nie może pan działać jak człowiek pozbawiony rozumu. Chłopiec
jest w porządku. Może trochę leniwy, ale w jego wieku to normalne.
Lubi hazard. Ale karty lubią wszyscy chłopcy, którzy mają odwagę
zaryzykować pieniądze. Pan siedzi tylko przez cały czas w domu i pa-
trzy na niego wilkiem, uważa, że chłopiec jest zły i mówi mu to prosto
w oczy. A przecież należy być z niego dumnym i okazywać mu to.
Jeśli jeszcze raz wywoła pan awanturę i skrzyczy syna, ja umyвам
ręce. Pan go nie rozumie, natomiast pańska żona rozumie go doskona-
le. Proszę iść teraz do domu i przekazać jej ode mnie, że może zajmo-
wać się chłopcem po swojemu.

Po chwili dało się słyszeć stłumione, pokorne mruczenie, a potem
szybkie kroki.

Frontowe drzwi zamknęły się donośnie.

– Zobaczę, czy mister Shannigan będzie mógł teraz z panem po-
rozmawiać – powiedziała dziewczyna i przeszła do drugiego pomiesz-
czenia.

Arthur Howison był człowiekiem na wskroś prawym, a jednak nie
potrafił się oprzeć pokusie, aby zaraz udać się za nią, przekręcić gałkę
w drzwiach i uchylić je choć trochę. Dzięki temu już bez trudu pod-
słuchał całą rozmowę.

– Jest jeszcze ktoś do ciebie, Sam – dobiegł go głos dziewczyny.

- Nie, koniec na dzisiaj.
- Wygląda... – zaczęła znowu.
- Nie chcę wcale wiedzieć, jak on wygląda – przerwał tamten.

Howison zerknął przez lekko uchylone drzwi i ujrzał mężczyznę rozpartego w obszernym, niskim fotelu, z poduszką pod głową.

W patio można było znaleźć kilka idealnie ocienionych miejsc, Shannigan wybrał jednak takie, gdzie ostre promienie słońca padały wprost na jego śniadą twarz.

Mógł uniknąć ich, przesuwając nieznacznie głowę na bok.

Zamiast tego, wolał zamknąć oczy.

– Ten człowiek przybył z daleka – nalegała dziewczyna – i wygląda na takiego, co daje łatwą pracę i duże pieniądze.

– Dlaczego łatwą? – zapytał Shannigan.

Mówiąc to, założył swoje długie, szczupłe ręce pod głowę.

Ich widok zaintrygował Howisona, stanowiły bowiem wyraźny kontrast z resztą ciała. Wszystko inne w nim było masywne: ramiona i klatka piersiowa, okryte albo przez warstwę tłuszczu albo dobrze rozwiniętymi mięśniami, jak również twarz, która przykuwała uwagę grubymi rysami, ale i ich nieskazitelną symetrią. Przypominała twarze na posągach dawnych faraonów egipskich, wykute przez artystów w twardym diorycie¹ i obdarzone przez nich chłodem i pełnym okrucieństwa uśmiechem boga, pół-bożka i pół-zwierzęcia, ale zarazem wykończone pieczołowicie, z zadziwiającą starannością.

Była to najbardziej szpetna i najbardziej sroga ludzka twarz, jaką Howison widział kiedykolwiek; sprawiała wrażenie, jakby wykonano ją z brązu, taki przynajmniej miała kolor i metaliczny połysk. Wyraziście, mocno zarysowane kości policzkowe, szeroka szczęka, grubo ciosane czoło, rosłe, a przy tym jakby cofnięte ku górze, wszystko to było mimo swej masy idealnie wykończone. Podobnie prezentowały się duże, lekko skośne, orientalne oczy i szerokie usta o grubych wargach – najbardziej uderzający ponury rys tej nader okrutnej twarzy.

¹ *Dioryt* – ziarnista magmowa skała głębinowa o barwie szarej lub ciemnoszarej.

Podobnie jak podczas oglądania jakiegoś pomnika można zauważyć, że pod wpływem refleksów świetlnych zmienia się on w zależności od kąta, pod jakim nań patrzymy, ulegał też zmianie wraz z każdym poruszeniem głowy wygląd tego postawnego mężczyzny. Chwilami sprawiał wrażenie dwudziestoparoletniego młodzieńca o raczej chłopcęcym jeszcze ukształtowaniu twarzy, innym razem mógł uchodzić za potwora o nieokreślonym, ponadczasowym wieku. Stwarzał pozór człowieka otwartego, a jednak było z niego coś z bezwzględnej zagadkowości sfinksa¹, tak jakby wiedział doskonale o wszystkim, a jednak świadomie wybierał zło.

Najbardziej jednak zdumiewały jego ręce. Nie jawiły się jako potężne łapy, choć dłonie o długich palcach przywodziły na myśl mocarne szpony drapieżnych ptaków. Były to ręce iluzjonisty występującego na scenie, by pokazać widzom sztuczki magiczne.

Nigdy wcześniej Howison nie widział twarzy tak odpychającej, a zarazem tak fascynującej.

Howison zaryzykował tylko jedno spojrzenie przez drzwi, a potem przymknął je z powrotem – w obawie przed wszystko widzącym okiem pana domu, który w każdej chwili mógł dostrzec szpiega.

Nadal docierało do niego każde słowo z rozmowy, która wydawała mu się bardziej groteskowa i nie na miejscu, niż mógłby to sobie wyobrazić.

– Dlaczego myślisz, że ma dużo pieniędzy? – zapytał Shannigan.

– Ma na sobie ubranie – odparła – które może być dziełem dobrego krawcy, ma jednak w sobie również coś z dawnego kowboja. Jego opalenizna na pewno bierze się z częstego przebywania pod gołym niebem od wielu lat. On nawet mruży oczy jak kowboj. To kowboj, który starał się osiągnąć coś w życiu. Najwidoczniej powiodło mu się i to tak, że ho-ho! A teraz ma tyle pieniędzy, że nie wie nawet, co z nimi począć, możesz mi wierzyć.

– Masz znakomity wzrok, Mary – powiedział Shannigan głosem, który zabrzmiał jak miękki, wznagający się bas zagrany na ostatnim

¹ *Sfinks* – postać mitologiczna, przedstawiana najczęściej jako leżący lew z głową człowieka-boga lub władcy; zadawał zagadki.

rejestrze wielkich organów. – Masz znakomity wzrok i jesteś u mnie wystarczająco długo, by wiedzieć, jak z niego korzystać.

– Chciałabym zapomnieć o wszystkim, czego się od ciebie nauczyłam – szepnęła. – Chciałabym odrzucić to wszystko gdzieś daleko.

– Mówisz teraz jak osoba słaba i głupiutka – zaprotestował. – Ale powiedz mi, droga Mary, czemu sądzisz, że on zaoferuje łatwe dla mnie zadanie?

– Bo ono wiąże się z przelaną krwią – odparła z ogniem w oczach – a takie zadania nigdy nie były dla ciebie czymś trudnym. Są jak stworzone z myślą o tobie. Takie właśnie sprawy lubisz najbardziej!

– Mary – powiedział – stajesz się wyjątkowo urocza i nadejście w końcu dzień, kiedy będę musiał dokonać wyboru.

– Jakiego wyboru? – zapytała.

– Ożenić się tym z tobą albo skrócić ci kark – odparł głosem głębokim, choć jednocześnie łagodnym; jeszcze przez chwilę słyszała, jak wibruje w powietrzu.

– Wolałabym już, żebyś skrócił mi kark, niż został mym mężem.

– Naprawdę? Chodź, moja droga, podejdź do mnie.

– Nie zbliżę się do ciebie.

– Zbliż się i podaj mi rękę – nalegał Shannigan.

Potrząsnęła głową, ale mimo to postąpiła krok do przodu i pozwoliła, by ujął jej dłoń.

– To ładna i mądra ręka, Mary – powiedział. – Ręka na pół mądrej kobiety i na pół głupiutkiej dziewczyny. Dlatego właśnie mnie irytujesz, bo składasz się z dwóch części. Gdybyś była z jednego odlewu, wiedziałbym, jak z tobą postępować.

– Sama zajmę się sobą, pięknie dziękuję – odparła.

– Chyba wkrótce zaczniesz nienawidzić mnie bardziej, niż w połowie, prawda, Mary?

W głosie Shannigana nie wyczuwało się ani kokieterii, ani irytacji; jedynie chłodną, bezosobową ciekawość, która sprawiła, że krew w żyłach Howisona zastygła na moment.

– Zawsze nienawidziłam cię w połowie – powiedziała dziewczyna.

– Dlaczego więc nie odchodzisz stąd? – zapytał. – Możesz przecież iść, dokąd chcesz. Mam wystarczająco dużo pieniędzy, by dać ci na drogę.

– Dostałam już dosyć pieniędzy od ciebie – odparła. – Dzięki nim mogłam nauczyć się wiele, a także bywać tu i tam. Trzeba z tym wreszcie skończyć, Samie.

– Dobrze więc, idź własną drogą. Myślę, że za pół godziny będziesz już spakowana i odejdiesz stąd, co?

– Nienawidzę cię trochę bardziej, niż do tej pory, kiedy uśmiechasz się w ten sposób.

– Uśmiecham się, gdyż wiem, że nie odejdiesz – wyjaśnił. – Powstrzymuje cię ciekawość, może się mylę?

– Chcę ujrzeć, jak ptaszek wpada w sidła. A wiem, że nastąpi to lada dzień.

– Jesteś złośliwa – odparł Shannigan, a uśmiech błakający się na jego grubych wargach stał się bardziej wyrazisty i okrutny.

– Wcale nie – zaoponowała Mary. – Czekam tylko na sytuację, do jakiej sam dążysz, na sytuację, która będzie wymagała całej siły, jaką posiadasz, i całego sprytu. Dobrze wiesz, że o to ci właśnie chodzi!

Uśmiechnął się, patrząc na nią przez na wpół przymknięte oczy.

– Pięknie, Mary! – powiedział. – Widzę, że zaprzątasz sobie głowę różnymi myślami, nawet nie tak prostymi.

Uwolnił z uścisku jej dłoń.

– Ten człowiek czeka – przypomniała mu. – Mam go odesłać?

– Nie, zdenerwowałam mnie trochę i muszę teraz dojść do siebie. Najlepiej wdam się w rozmowę z tym bogaczem, który – jak twierdzisz – ma dla mnie jakieś ciekawe zadanie. Wprowadź go tu. Gdzie on jest?

– W małym pokoju z parawanem.

– W takim razie na pewno słyszał wszystko, o czym rozmawialiśmy. Idź już, Mary. Czasem wcale nie jesteś tak przydatna, jak byś mogła być.

Howison zamknął ostrożnie drzwi i wrócił na fotel. Usiadł, splatając dłonie jak ktoś, kto czeka w tej pozycji od dłuższego czasu. Nie

miał żadnych wyrzutów sumienia, że podsłuchał tę rozmowę. Usprawiedliwiał się w duchu, że właśnie wejrzał w głąb jakiegoś systemu funkcjonującego w tak niezwykle sposób, że zapewne nie uwzględnia jakichkolwiek zwykłych, uznawanych przez człowieka zasad i reguł.

Scena z Piękną i Bestią¹, jakiej przed chwilą stał się częściowo przypadkowym świadkiem, zaintrygowała go tak przemożnie, że niemal zapomniał o własnym problemie.

Do pokoju weszła Mary.

– Mister Shannigan przyjmie teraz pana – powiedziała. – Czekaj w patio.

Zamknęła za nim drzwi.

Howison stanął w progu i wstrzymał oddech; odniósł raptem niejasne wrażenie, jakby znalazł się w niewielkim, zamkniętym pomieszczeniu razem z groźnym lwem.

Shannigan wstał z fotela. Teraz nie wydawał się zbyt wysoki, może nawet nie miał sześciu stóp² wzrostu. Nie wyglądał już też tak imponująco; mógł uchodzić raczej za człowieka tłustego, nalanego, niż silnego. Kiedy postąpił krok do przodu, wychodząc na spotkanie gościa, zmieniła się również jego twarz: pojawił się na niej uśmiech tak łagodny, a jego oczy spoglądały tak otwarcie i szczerze, że większość uprzedzeń, jakie miał dotychczas Howison, rozviała się w jednej chwili.

Poczuł silny uścisk dłoni, a w następnej sekundzie znalazł się – nie wiedzieć jak – na krześle. Shannigan siedział naprzeciwko, idealnie wyprostowany, a przy tym w idealnie swobodnej postawie. Uśmiech widoczny był tylko na jego wargach; w oczach widniała zagadkowa cierpliwość.

– Sądzę – odezwał się Howison – że powinienem zacząć od przeprosin za zakłócenie pańskiego wolnego czasu.

– Nikt nie powinien przeproszać za to, że uczynił coś, czego pragnął – odparł Shannigan.

¹ *Piękna i Bestia* – baśń o dziewczynie, która z powodu obietnicy złożonej przez jej ojca musi zamieszkać z potworem. Jej miłość i zgoda na małżeństwo przywracają mu ludzką postać.

² *Stopa* – tu: stopa angielska, miara długości równa 0,3048 m.

– Dobrze więc – powiedział Howison i uśmiechnął się z lekka, słysząc te podyktowane przez zdrowy rozsądek słowa. – W takim razie przejdę od razu do sedna sprawy, z jaką przybyłem. Na początek jedno pytanie: czy to prawda, że podejmuje się pan niekiedy prowadzenia specjalnych dochodzeń?

– Wyręczam prawo, owszem – skinął głową Shannigan.

– To, o co mi chodzi, oznacza właśnie działanie jak najbardziej poza prawem – mówił dalej Howison. – Zna pan Jacka Reynoldsa?

– Słyszałem o nim.

– Wie pan też, co mu się przytrafiło?

– Został wreszcie aresztowany, a teraz prowadzą go powoli do Deerfoot. Tam go zlinczują.

– Właśnie do tego nie wolno dopuścić – powiedział Howison. – Chciałbym dowiedzieć się, czy jest pan w stanie temu zapobiec.

– Reynolds ma brudną przeszłość. Dlaczegoż więc miałbym przeszkadzać w ukaraniu go?

– Ponieważ przyjaźniłem się z jego ojcem. Kiedy umarł, zostawił Jacka w pewnym sensie pod moją opieką, a ja nie wywiązałem się z tego zadania, jak należy. Teraz zorientowałem się, że Jack jest już jakby skończony – i poczułem wyrzuty sumienia. Jestem gotów zapłacić tyle, ile sprawa jest warta.

– Ile jest warta ta sprawa, określi stan pańskiego sumienia.

– Moje sumienie jest w bardzo złym stanie – przyznał Howison.

– To poważne zadanie – zauważył Shannigan. – I bardzo powikłane. Może trzeba będzie przeciwstawić się rozjuszonemu tłumowi. Takie sprawy wymagają planu i czasu. My zaś nie mamy zbyt wiele czasu i nie możemy nawet myśleć o solidnym planowaniu.

– A więc jest pan zdania, że nie da się nic zrobić? – zapytał Howison.

– Tego nie powiedziałem – zaoponował Shannigan.

– Zapłaciłbym chętnie dziesięć tysięcy... nie, zapłaciłbym dwadzieścia tysięcy dolarów, gdyby znalazł pan sposób, aby wyciągnąć go z tarapatów.

– To jego pierwsza wpadka. Potem schwytają go po raz drugi. Reynolds będzie kusił los tak długo, aż zawisnie na stryczku.

– Być może – wzruszył ramionami Howison, czując jednocześnie, że oblewa go zimny pot. – Miałbym jednak lepsze samopoczucie, gdybym uratował go choć raz i stworzył mu szansę wejścia na lepszą drogę.

Jego rozmówca skinął tylko głową.

– Proszę wymienić cenę – nalegał Howison.

Shannigan machnął niecierpliwie ręką i Howison znowu uświadomił sobie dobitnie, jak bardzo jest drobna w porównaniu z resztą ciała.

– O cenie pomówimy potem – powiedział Shannigan. – Nigdy nie biorę pieniędzy z góry.

– Ale tylko w ten sposób załatwia się interesy – zdziwił się Howison. — Potem może się wydawać, że wartość wykonanej pracy nie jest tak... – urwał.

– Ja załatwiam interesy tylko w ten sposób – oświadczył Shannigan. – Jeżeli mam dla pana pracować, to wyłącznie swoimi metodami.

– Chcę pana i aprobuję pańskie metody.

– Dziękuję – powiedział Shannigan. Potem dodał: – Potrzebuję jeszcze kilku informacji. Co Reynolds przeszkrobał tym razem?

– Już kilkakrotnie oskarżano go o morderstwo. Teraz twierdzą, że udał się z dwoma kompanami na pustynię i wrócił do miasta bez nich.

– Jedna z tych prostych spraw?

– Na to wygląda.

– Ale pan lubi tego chłopca?

– Lubilem jego ojca. A jeśli chodzi o Jacka, nie wywiązałem się ze swego zobowiązania.

– Czy on dziedziczyłby choćby część pańskiego majątku?

– Nie mam dzieci. Jack otrzymałby w razie czego sporą część tego, co posiadam.

– Jest pan człowiekiem majątnym?

– Posiadam bardzo dużo pieniędzy.

– To znaczy ile?

– Wolałbym tego nie mówić.

– Muszę wiedzieć – odparł niewzruszenie Shannigan.

– Według ostatniego szacunku siedem do ośmiu milionów dolarów.

– To wystarczająca ilość, by nabawić się kłopotów i to poważnych. Ludzie zabijają dla siedmiu milionów tak samo chętnie, jak dla siedemdziesięciu. Czuję, że ta sprawa zaczyna mi się podobać. – Umilkł na chwilę, a potem zapytał: – Jak pan się nazywa?

– Arthur Howison.

– Niech pan wraca do Deerfoot, mister Howison – poradził Shannigan. – Wkrótce i ja tam przyjadę, a wtedy będę miał dla pana wieści.



Rozdział V

Plan

 an Andreas było oddalone od linii kolejowej o trzydzieści mil, a najmniejsza odległość pomiędzy torami a Deerfoot wynosiła czterdzieści mil. Droga była więc długa i dlatego Howison wyruszył czym prędzej, mając nadzieję, że jego nowy wspólnik będzie przynajmniej próbował znaleźć wyjście z sytuacji. Nie miał pojęcia, co można by zrobić, wydawało mu się jednak, że dla tego śniadoliczego potwora nawet najtrudniejsza sprawa może się okazać dziecinnie prosta.

Zaledwie wyszedł na ulicę, Shannigan zawołał dziewczynę. Stanęła przy końcu arkad, biegnących wzdłuż patia, i oparła się dłonią o jedną z szorstkich kolumn.

– Poproś twą matkę, Mary – polecił.

– Jaki diabelski pomysł wyłagł się znowu w twojej głowie, Sam? – zapytała dziewczyna.

– To rzeczywiście diabelska sprawka, ale nie tak znowu straszna – odparł.

– Jeśli zdenerwujesz ją w jakikolwiek sposób, zatruję powietrze, którym oddychasz – zagroziła.

– Pokażę ci, na czym polega różnica między zaufaniem a zaufaniem – obiecał. – Poproś ją, a potem możesz posłuchać, o czym rozmawiamy.

Popatrzyła na niego podejrzliwie, pokręciła głową, ale w końcu podeszła do drzwi. Tam przystanęła i zerknęła raz jeszcze przez ramię.

Shannigan uśmiechnął się i pomachał do niej ręką. Tym razem Mary wyszła śpiesznym krokiem, on zaś położył smukłe dłonie na kolanach i posłał swe jak zwykle zimne i nieodgadnione spojrzenie w dal.

Po chwili zjawiła się pani Tracy, a za nią weszła córka. Matka Mary była bardzo niską kobietą o śnieżnobiałych włosach, przez co jej smukła twarz wydawała się młodsza, niż była w rzeczywistości. Oczy

i uśmiech były tak świeże, jak u dziewczyny. Miała na sobie cienką, czarną suknię i kolor ten, jak również coś w twarzy, zdawały się mówić, że w duszy jej na zawsze już zagościł smutek.

Shannigan wstał na jej widok.

– Pani Tracy – zaczął – mam do wykonania pewną pracę i potrzebna jest przy tym obecność kobiety. Czy pozwoliłaby pani, abym wyjechał razem z Mary?

Matka spojrzała najpierw na niego, potem na córkę, otwierając szeroko oczy.

– Dokąd chce pan wyjechać, Sam?

– Nie tak daleko – odparł Shannigan – jeśli porównamy to z odległościami, do jakich jesteśmy przyzwyczajeni w tych stronach.

– Oczywiście, może pan z nią wyjechać – oświadczyła pani Tracy.

– Co ci przyszło do głowy, mamó? – zawołała dziewczyna. – Nigdy bym cię nie opuściła! Zwłaszcza z jakimś mężczyzną!

– Cicho, niemądre dziecko – powiedziała pani Tracy. – Czyżbyś nie знаła Sama wystarczająco dobrze, by móc mu zaufać? Co do mnie, zawierzyłabym mu nawet własną duszę!

– Ty możesz sobie na to pozwolić – odparła Mary. – Wszyscy wiedzą, że diabeł nie posiada władzy nad świętymi!

Jej matka uniosła rękę w ostrzegawczym geście.

– Kiedy już dorośniesz, będziesz wiedziała, jak się rozmawia. Wszystkie nauki, jakie pobierałaś, poszły – jak widzę – na marne; nadal masz niewyparzony język. Sam, może pan wyjechać z nią, dokąd pan tylko chce. Zezwalam na to.

– Tylko tyle chciałem wiedzieć – odparł.

Pani Tracy odwróciła się i odeszła przez dziedziniec.

– Mimo to – odezwała się znowu dziewczyna – nigdzie z tobą nie pojadę, Samuelu Shannigan.

– Mary, będziesz miłą, młodą żoną – powiedział.

– Z pewnością nie twoją, Sam – odparła gniewnie.

– Będziesz żoną człowieka, którego nigdy jeszcze nie widziałaś – uzupełnił.

Spojrzała nań, marszcząc brwi.

– A w domu masz dwoje małych, ślicznych dzieci, jasnowłosego chłopczyka o imieniu Jack i dziewczynkę Molly – mówił dalej.

Usiadła naprzeciw niego i zatopiła wzrok w jego brzydkiej twarzy.

– Mów dalej, Samie Shannigan – powiedziała. – Zawsze byłeś mistrzem w opowiadaniu bajek.

– Mieszkasz gdzieś na Południu, w małym miasteczku – kontynuował Shannigan – i jesteś po raz pierwszy na Zachodzie. Rozumiesz?

– Cóż to znowu za przedstawienie szykujesz? – zapytała Mary.

– W tym spektaklu będę rzadko na scenie – odparł. – Ale za to postaram się podpowiadać ci dużo zza kulis. Będziesz łagodną, słodką, uroczą istotą.

– Nic z tego – potrząsnęła głową. – Nawet gdybym nie musiała jechać tak daleko i miała dostać tysiąc dolarów tygodniowo, nie potrafiłabym udawać takiej dziewczyny.

– A ja wiem, że byś mogła, Mary – powiedział. – Znam cię nie od dziś!

– Naprawdę? I co takiego wiesz o mnie?

– Wiem, że oddałabyś własną duszę, byle tylko móc robić to, co ja: wędrować po całym świecie i co pewien czas puszczać z dymem tę czy inną jego część.

– A więc miałabym podpalać świat?

– Czy bardzo byłabyś nieszczęśliwa z tego powodu?

Przez chwilę spoglądała na niego, potem odrzuciła głowę do tyłu i skierowała wzrok na widoczne między gałęziami akacji błękitne, pogodne niebo.

– Mów dalej, Sam – powiedziała wreszcie, patrząc nadal w górę.

– Będiesz młodą, szczęśliwą matką, która przyjechała tu ze Wschodu, aby spotkać się z mężem, sprawić mu niespodziankę, jakiej nigdy już nie zapomni. Jesteś oszołomiona, że dokonałaś tak wielkiej rzeczy! Bo oto przybyłaś z tak daleka, podróżowałaś sama, twoja matka wzięła dzieci na ten czas do swego wspaniałego domu i wszyscy, których spotykałaś po drodze, byli dla ciebie bardzo mili, Mary. Wszyscy mężczyźni byli dla ciebie wspaniali.

Umilkł i uśmiechnął się.

– Mężczyźni są zawsze dla ciebie mili, Mary – dodał.

– Muszę to przemyśleć – powiedziała. – Chcesz namówić mnie do czegoś złego.

– Chcę cię namówić, żebyś uratowała człowieka przed stryczkiem. Czy to coś złego?

– A może on zasłużył na stryczek? – zapytała dziewczyna, marszcząc brwi.

W dalszym ciągu spoglądała na niebo.

– Nie bardziej, niż my wszyscy – odparł Shannigan.

Nachylił się lekko do przodu i dodał:

– Będiesz kobietą, która wzbudzi litość całego miasta! Zobaczysz, jak bardzo będą zasmuceni, kiedy wysłuchają twojej historii, jak bardzo będą ci współczuć! Zamiast powiesić swą ofiarę, wstrzymają się, by wszystko przemyśleć, a w tym czasie, gdy będą się zastanawiać, ja wybawię Reynoldsa od stryczka.

– I wtedy weźmiesz czek od pana Howisona, czy tak?

– Podzielę się tym czekiem z tobą, Mary, a jeżeli odegrasz swą rolę wystarczająco dobrze, otrzymasz go w całości.

Poderwała się z krzesła i tupnęła nogą.

– Tak jakby można było jeszcze mówić o pieniądzach od ciebie dla mnie! – wykrzyknęła. – Nie jestem tak niewdzięczna, abym miała zapomnieć o tych tysiącach, jakie wydałeś na moją matkę i na mnie!

– Twoja matka napracowała się porządnie i w pełni zasłużyła na to, co dałem jej i tobie – odparł Shannigan.

– Klituś-bajduś!

– A jednak! – obstawał przy swoim Shannigan.

– To bzdura – upierała się Mary. – Moja matka jest kochana, ale niezbyt rozgarnięta. Dobrze o tym wiesz!

– Jednak to ona uczyniła z tej budowli przytulny dom.

– Sentymentalne bzdury! – powtórzyła Mary. – Ale powiedz mi, Sam, dlaczego chcesz, abym udała się z tobą? Nigdy jeszcze nie prosiłeś mnie, żebym brała udział w jakichkolwiek z tych twoich zwarowanych intryg! Dlaczego prosisz mnie o to dzisiaj?

– Ponieważ tym razem zadanie może się okazać na tyle poważne, że przerośnie moje możliwości.

– To nie jest żaden powód – pokręciła głową. – Wiem, że jesteś zdolny przychylić sobie nieba i dostać się tam na samą górę. Po co więc ja jestem ci potrzebna?

– Myślałem, że jesteś nadal małą dziewczynką, Mary – odparł – ale kiedy spojrzałem dziś na ciebie, zrozumiałem, że mam przed sobą kobietę.

Powoli potrząsnęła głową.

– Dlaczego nie możesz powiedzieć mi prawdy, Sam? – zapytała niemal ze smutkiem w głosie. – Mówisz bardzo dużo, ale jakoś nigdy nie zdobyłeś się na szczerść wobec mnie. Czy to byłoby tak bolesne?

Wzruszył ramionami i spojrzał na nią wzrokiem tak zimnym, tak okrutnym i tak wyrachowanym, że wzdrygnęła się z lekka, chociaż była już przyzwyczajona do tego wzroku, jak nikt inny na świecie.

– Dobrze więc! – wykrzyknęła. – Jak mam się teraz nazywać?

– Mistress Jackowa Reynolds... Mistress Mary Reynolds.

– Jak Reynolds? Ten rewolwerowiec?

– Ten sam.

– I ja miałabym być jego słodką żoneczką? To niemożliwe, Sam! Nie dałabym rady, nic by z tego nie wyszło.

– A więc powiedz to od razu. – Głos Shannigana stał się raptem tak zimny i twardy, jak wyraz jego twarzy. – Bo jeżeli już raz przystąpisz ze mną do tej gry, nie waż się mnie zawieść! Idź teraz do matki i porozmawiaj z nią. A potem wrócisz i powiesz mi: tak albo nie.

Odwróciła się plecami do niego i rzuciła przez ramię:

– Mogę powiedzieć ci już teraz, że nie chcę...

– Zrób tak, jak ci kazałem – polecił Shannigan. – Potem wrócisz i przekażesz mi swą decyzję.

Wyszła z patio, on zaś pozostał w pozycji, w jakiej siedział do tej pory: z dłońmi spoczywającymi zupełnie płasko na złączonych kolanach, z wyprostowanym tułowiem. W oczach utkwionych w niezmierzoną przestrzeń płonał zimny uśmiech.

Upłynęła godzina, on zaś nawet nie drgnął przez cały ten czas.

Słońce zawędrowało tak daleko, że jego promienie przedostały się przez zasłonę z gałęzi akacji i rzuciły mu w twarz snop niegasnących promieni, ale Shannigan nadal tkwił w bezruchu, jakby nie czuł ich oślepiającego blasku.

Wreszcie dziewczyna wróciła, otwierając z rozmachem drzwi wychodzące na patio i zatrzasnąwszy je gwałtownie za sobą.

Twarz Sama wydała jej się jakby wykuta z ciemnego, połyskliwego brązu, a jego uśmiech był bardziej wymowny niż gest ręką.

Potrząsnęła głową na znak, że podjęła już decyzję.

Nawet się nie poruszył.

– Jadę z tobą, Sam – powiedziała.

Uniósł jeden palec do góry.

– Będziesz wykonywać moje polecenia i nigdy nie powiesz „nie”? – upewnił się.

– Tak. Będzie tak, jak ty zechcesz – odparła. – Kiedy wyruszamy?

– Natychmiast.

– Pójdę się spakować – powiedziała Mary.

– Nie ma takiej potrzeby. Dostajesz na drogę nowe ubranie. I to nie byle jakie! Stosowne dla młodej zamężnej damy, Mary!

Po tych słowach roześmiał się gromko, budząc wzdłuż całego patio dźwięczne echo, odbijane wielokrotnie od jego ścian.



Chcesz przeczytać dalszą część?
Zapraszamy do księgarni!